

NIGHT POETS

TOMASZ NOWAK



Pewnego dnia budzisz się i spostrzegasz, że twarze twoich przyjaciół porosły kurzem lub mchem. Tęczówki ich oczu lśnią w blasku innych światów, a uśmiechy są wypłowiałe i zgasłe. Chcesz się odezwać, by dowcipnym słowem odczarować tę chwilę, zagaic o wczorajszych wojnach, inflacji, pogodzie — lecz wówczas spostrzegasz, że nie masz ust, gdyż jesteś pewnym rzadkim okazem kaktusa.

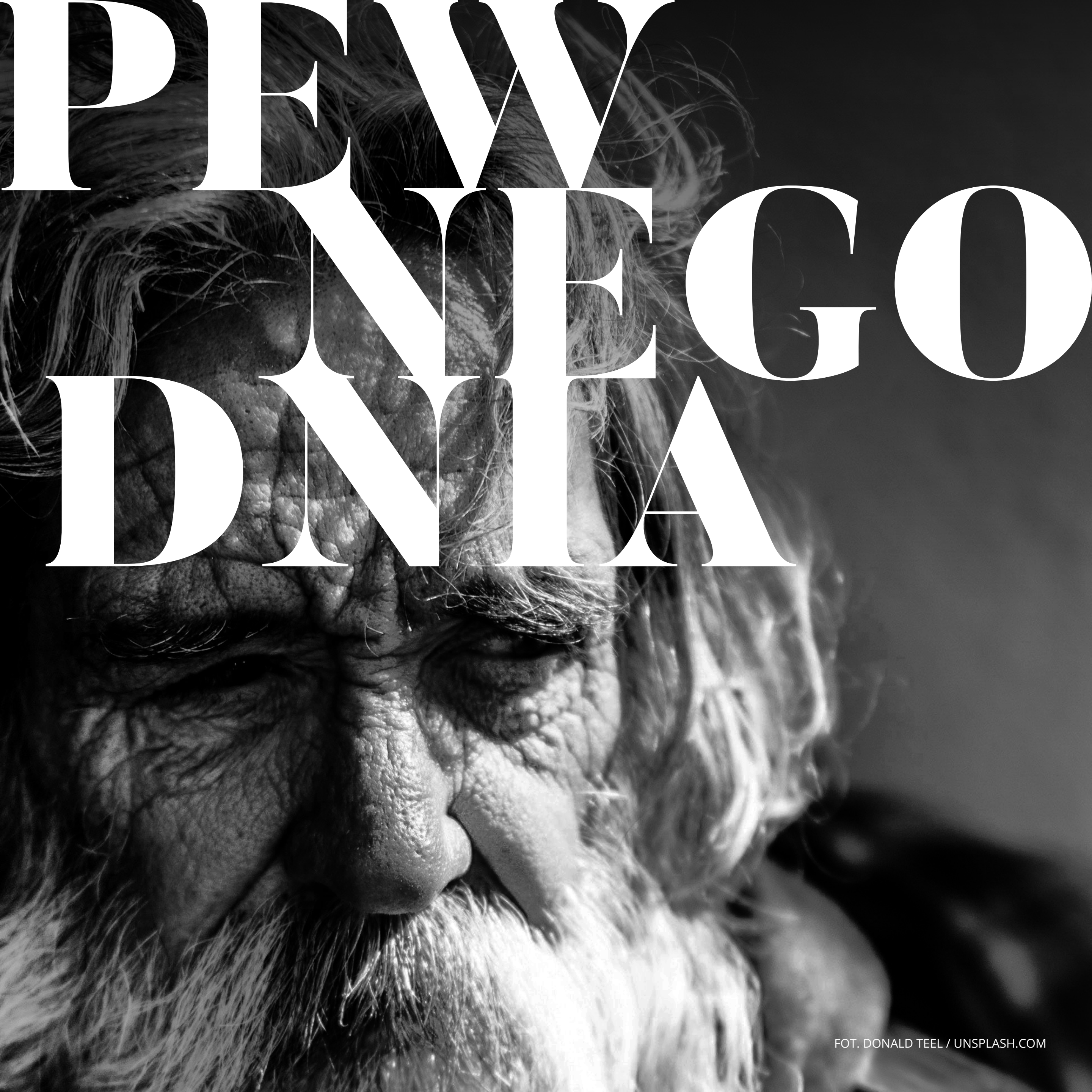
Odkrycie to nie przeraża cię zbytnio; czujesz najwyżej nieśmiałe niedowierzanie. Z każdą chwilą wzrasta w tobie wrażenie oderwania. Nie myślisz, że to sen, gdyż — szczerze mówiąc — nie jesteś pewien, czy myślisz w ogóle.

Sięgasz pamięcią wstecz, do dzieciństwa w małym miasteczku, spędzonego spokojnie, wśród zjawisk koniecznych i wiecznych jak futbol czy szkoła. Wspominasz młodość, żar ognisk i uczuć, które ważyłeś beztrosko, nieświadom ciężaru, jakim wkrótce przykują cię do butów. Roztrząsasz decyzje, które uważałeś za swoje, skarłałe sukcesy i klęski dojrzałe po latach — lecz, tak!, wszystkie drogi prowadzą cię tu, gdzie stoisz. Na zaniedbany parapet byłego przyjaciela, do doniczki, wciśniętej pomiędzy jego budzik, a wazon.

Za oknem duszne, przejrzałe lato paruje powoli, nieśpiesznie. Do przyszłego wtorku świat bez wątpienia wyschnie na wiór. W promieniu wielu

lat świetlnych pozostaną tylko czterdzieści cztery
mililitry wilgoci, uwięzione w pomarszczonej tkance
rzadkiego okazu kaktusa.

Słońce uparcie próbuje sięgnąć zenitu.



PFW
DNE
GO

Those days are long gone, przyjacielu. Nie wypalamy już traw na wzgórzach za domem. Zostawiliśmy je samym sobie. Daliśmy spokój. Teraz suche, łamliwe źdźbła strzelają w niebo jak myśli. W ich sąsiedztwie budynek wydaje się dziwnie skarłały, jak zabawka, żart lub mysia nora. O widnokręgu nikt już prawie nie pamięta. Tylko dzieci opowiadają coś o przyszłości, nim zatracą się w wyliczankach.

Na dnie swojej szuflady schowałem ostatnią zapalniczkę. Czasami, tuż przed świtem, ośmielam się marzyć o dniu, gdy nic mnie już nie powstrzyma.

PRZEZ WYŚL ENIA

Na początku spodziewaliśmy się nocy, jak zwykle.
Kres wytycza miarę, a miara jest formą znaczeń.
Nasze oczy nawykły do kształtów, a język do granic.
Tak było kiedyś.

Jednak teraz zmierzch tylko lekko muska niewidzialną taflę horyzontu. Szarówka leniwie błądzi po fiordach. Wlewa się w zmarszczki żłobiące ich surowe zbocza. Potem odpływa — nieziszczona zapowiedź, przeczucie. Zapominamy o niej natychmiast, wpatrzeni w powracające światło wczorajszego dnia. Nie wiedzieć czemu, łzawią nam oczy.

Nasz dom nazywaliśmy już na tysiąc sposobów.
To nic nie zmienia. Ściany dają jedynie przelotne oparcie myślom, gramatyka ślizga się po po-

wierzchni desek. Gdy otwieramy drzwi, bezkres
gwałtem bierze tę przygodną architekturę.

Jakiś czas temu nad brzegiem morza dzieci
znalazły truchło starej foki. Jej niewidzące, otwarte
oczy były szare. Jak moje.

TYM KO
DZIAŁEĆ
KROCHWA
KALUŻE

Dobra pogoda nie przyjdzie już nigdy. Ugrzęzła w snach o czasach śmiałości, śnionych przez starców grudniowym świtem. A może to nie sny, lecz pamięć, rozpięta jak front niżowy pomiędzy biegunami niemożliwych przeszłości. Niż niesie deszcz, deszcz niesie lęk, zaś lęk to dobra ściółka dla pleśni, która u schyłku minionego lata porosła nasze kalosze.

Gdy smukłe pogodynki wieszczą nową wiosnę, my wiemy, że kłamią. Meteorologia to tylko forma interpretacji, ta zaś jest córą szatana. W bocznych nawach, wysklepionych jak parasole, zanosimy wołanie: „Panie, ustrzeż nas przed słotą”!

Czasami, rzadko, odrywamy swe sędziwe spojrzenia od prawdy ekranu i spoglądamy przez okna

na deszcz i ludzi, którzy mimo wszystko idą przed
siebie, niepomni, że mokną. „Głupcy”, myślimy,
zasuwając firanki i wracamy do siebie. U siebie
zawsze sucho i pewnie, niestety.

CHUBBY AND NIE

Najlepiej widział po zmroku, gdy rzeczy traciły barwy i stawały się ledwie formą, niewyraźnie odcinającą się od kontekstu. Ludzie jawili się tym, czy są — głosem w ciemności, niepewnym ruchem, czasem ulotnym lśnieniem gałki ocznej, odbitym od blasku zbłąkanego fotonu.

— Nasza cywilizacja już dawno wymarła — mówiła mu matka, jednak dla niego ten cichy napór kosmosu wciskającego się w muszlę po minionej kulturze — to była właśnie kwintesencja życia.

W noce takie, jak ta, lubił zabierać głos. Mówił do innych przygodnych włóczęgów, tych, którzy chcieli i tych, którzy nie chcieli słuchać. Nikogo innego nie było. Zresztą — nigdy nikogo innego nie było.

— Niech płonie — powiedział ktoś, podpalając ostatnią stertę książek. Ciepło rozlało się po pomieszczeniu w przypływie fałszywej otuchy. Twarze wyłoniły się z mroku, liżnięte pomarańczowym światłem płomienia. W zmarszczkach, grymasach i bliznach dało się czytać historię.

Na chwilę znów można było zapomnieć.



ROCK SWEEP DATA

Spotkałem człowieka. Leżał na wznak na mokrej trawie niedaleko tamtego pustego przedmieścia. Z twarzą ku niebu, nieruchomy i milczący, był niewidoczny jak kamień. Zapadała noc. Wczesny księżyc świecił zbyt jasno. Gdzieś wysoko nad nami przelatywały rozwlekłe klucze leonidów.

— Świat się nie kończy — powiedział cicho. — To tylko cecha naszego myślenia. Skaza na aparacie poznawczym. Głupi żart.

Choć stałem ledwie o krok od niego, nie widział mnie ani nie słyszał, pogrążony w swojej dziwacznej modlitwie. Krople wilgoci drążyły zmarszczki w jego szarej twarzy. Ściekały po policzkach, rozwleczone w wąskie strumienie. Wy-

dał mi się mały, dużo mniejszy, niż był w rzeczywistości, o ile była w ogóle jakaś rzeczywistość, którą dane nam było dzielić. Patrzyłem na niego z oddali. To niemal niemożliwe, że udało nam się spotkać.

— A jednak — odparłem — nic już nie ma sensu. Wszystko się rozpada. Nawet ta scena jest tylko złudzeniem, pustą formą, grą przyzwyczajień.

Nawet nie drgnął. Równie dobrze mogło mnie tam nie być. Mogłem być jednym z tych kamieni, spadających na glob krótką smugą płomienia.

Odszedłem.

Wracając tą drogą następnego ranka, dostrzegłem wgłębienie w ziemi tam, gdzie wczoraj leżał.

Znikający znak. Płytki krater po osobie. Był jeszcze mniejszy, niż zapamiętałem.

Pośrodku pełził ślimak. Choć naszła mnie ochota, aby go zdeptać, poszedłem w swoją stronę.



Rewolucja zastała nas w piżamach, w rozkopanym pościeleniu i zwałach przepoconego prześcieradła. Niedobudzeni, pogubieni i błędni, podeszliśmy do balkonowych drzwi i wyjrzeliliśmy na zewnątrz. Bukiety koktajli Mołotowa jasno zakwitały na ścianie biblioteki. Obok płonął warzywniak. Gromady dzieci w brudnych maskach tańczyły w kłębach dymu. Ich małe, okrutne rączki miotały wokół kamienie i śmieci. Brzęk bitych szyb przeszywał noc. Ostre skry sypały się na ulicę, jak konfetti.

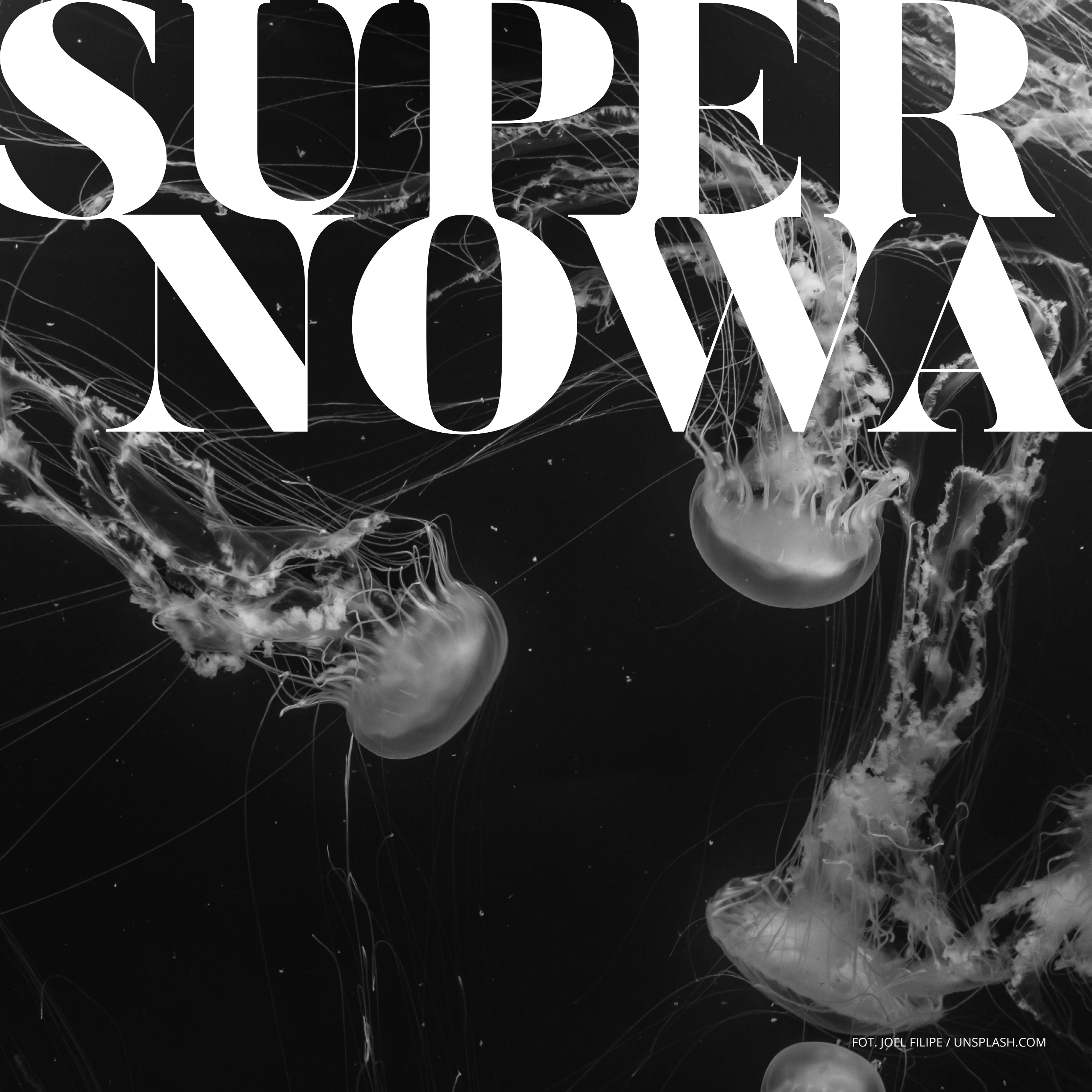
Jedną nogą w sypialni, a drugą na zewnątrz, utkwiliśmy w pół kroku między snem a strachem.

— Chodź, wracajmy do łóżka — powiedziałem głucho. — To nie wróży przecież nic dobrego.

Nie posłuchała mnie. Patrzyła na zewnątrz szeroko otwartymi oczami, a łuna pożogi kładła w zagłębieniach jej twarzy rozedrgane i dziwne cienie. Przyniosłem koc. Owinęliśmy się nim jak kokonem i przykucnęliśmy pod framugą, ukryci przed chłodem i przypadkowymi spojrzzeniami. Od dymu łzawiły nam oczy.

Nad ranem przyszedł deszcz, a potem niemrawy, szary świt przedarł się przez chmury. Tu i tam smużki dymu drżały niewyraźnie na tle jaśniejszego nieśpiesznie nieba. Gdzieś nad dachami poniosło się echo czyjegoś głośnego seksu. Poczynano się nowe życie.

SUPER NOWA



Tego nie było w planach. Nikt nie spodziewał się eksplozji, choć jej niewyraźną zapowiedź dało się dostrzec w tych krótkich chwilach mroku, które dzieliły kolejne, frenetyczne paroksyzmy codzienności. Wszyscy wypatrywali czegoś zgoła innego, przypominającego nieustający karnawał, bezkresny jarmark uciech, *chillout room* pełen wygodnych sof, podbitych bezużyteczną, bezrefleksyjną wszechwiedzą. Sami nie wiedzieliśmy dokładnie, wśród jakich konstelacji błądziły nasze oczekiwania, jednak były to konstelacje pełne błogości i światła.

Pierwszy podmuch fali uderzeniowej zmiotł tych najbardziej gorliwych. Pozostały po nich rozciągnięte do niemożliwości cienie, zeszklone w pół

gestu rozbłyskiem niedowierzania. Do nas, klębiących się tłumnie w ostatnich szeregach, kres dotarł znacznie później, spowolniony i syty, wybrzmiał echem miliona tweetów, zwielokrotniony miliardem obrazów. Zaakceptowany, a nawet w jakiś sposób wyczekiwany wobec swej nieuchronności. Potem, w następujących po sobie dniach, tygodniach i latach, kolejne aspekty codzienności gasły jeden po drugim, pozostawiając nas wreszcie unoszących się swobodnie między wschodami i zachodami jak meduzy w świetlistych wodach proterozoiku.

Gdy wreszcie wstał świt, nic się nie działo. Stojąc boso u wylotu ciemności, poczułem, że nie ma niczego, zupełnie niczego, co musiałbym zrobić.

Nieodległy ocean wypełzał leniwie na zapadnięte wybrzeża, zostawiając na brudnym piasku ławice martwych ryb. Poczerniałe mewy rozdziobywały ich pożywne wątroby. W ciszy.

GRACE

Krajobraz jest pozbawiony wszelkiej topografii — kosmos, rzucony na szarą płaszczyznę, tafla oceanu w bezwietrzny dzień. Ziemia stawia nieznaczny opór naszym stopom — delikatny nacisk konkre-
tu, tak niewyraźny, że niemal niebyły. Nie potrafię określić, czy przemierzamy równinę, płaskowyż czy pustynię. Ta przestrzeń bez żadnych detali nie przedstawia niczego, na czym mogłaby zatrzymać się myśl. Istnienie wydaje się czymś co najmniej wątpliwym. Nawet wątpliwościom brak wyraźnego oparcia.

Ruch jest pojęciem względnym, dlatego nie umiem określić, czy dokądkolwiek idziemy, czy może trwamy wciąż w tym samym punkcie, prze-

bierając nogami, jak w głębokim śnie. Jedynie twoja ręka w mojej dłoni jest czymś, co daje spokojny, ostentacyjny opór nieskończoności.

— Daleko jeszcze? — zadajesz to proste, dziecięce pytanie, a ja kłamię gładko, mówiąc:

— Jeszcze trochę.

W tej niezróżnicowanej, bezbarwnej przestrzeni moje słowa rozwijają się przed nami, jak intensywnie czerwony dywan.

Ostrakizacja działek złoty

FOT. GABRIELLE ROCHA RIOS / UNSPLASH.COM

Obudził się w środku nocy tuż obok miejsca wygniecionego przez swoje ciało, pół kwarka nad prześcieradłem, plecami do ściany. Wskazówki zegara ściennego cicho odmierzały mijające sekundy. Słyszał je jakby z oddali. W ciemności czas był czymś pozbawionym walorów konkretności.

Pod sklepieniem czaszki czuł nieprzyjemną jasność, która z każdą chwilą otarbiała się jakimś nieuchwytnym wrażeniem. Nagle dotkliwie zapragnął doświadczyć grawitacji. Powoli przesunął się na brzeg posłania, uważając, by zbyt gwałtownym ruchem nie obudzić drzemiącego w ciele bólu. Opuścił stopy na zimną podłogę i odczekał, aż jej dotyk zakotwiczy go w teraź-

niejszości, jednak ten moment nie nadszedł. Jak zwykle.

Wstał chwiejnie na wychudłych nogach i powlókł się do kuchni. Minął pusty pokój żony, pusty pokój dzieci i pustą lodówkę. Dotarł do okna, rozparł ręce o framugę i przylgnął twarzą do chłodnej szyby. Bezbarwne światło księżyca sączyło się zza cienkich chmur, oblewało jego zniekształconą twarz. Wyglądał jak laboratoryjny okaz człowieka w słoju z formaliną.

Gdy oczy przywykły wreszcie do ciemności, odsunął się z powrotem w głąb pomieszczenia. Spojrzał do kąta, gdzie w niewielkim gąsiorze fermentowało wino, nastawione zbyt dawno, by ocze-

kiwać po nim jakichkolwiek walorów. Mętna ciecz
wydawała przez rurkę swoje ostatnie tchnienie.

Długo patrzył, jak pęcherzyk gazu powoli prze-
ciska się płuczką ku nicości.

BLAATY NOSCO ROZEC

Tego dnia nie było obiektywnych przeszkód, by umrzeć. Gdzieś w Kenii ostatni nosorożec uderzył głową w mur. Skutki naszych decyzji wyrastały wokół jak grzyby. Świetliste owocniki. Spalone siatkówki nie wychwytywały różnicy pomiędzy nimi, a horyzontem.

Poranek był nadzwyczaj gorący. Mimo to równie dobrze mogliśmy posiedzieć nieco dłużej.

— Muszę już iść, tato — powiedziałaś, bo musiałaś już iść. Uśmiechnąłem się lekko, jak zwykle w obliczu wyższej konieczności. Patrzyłem za tobą, gdy odchodziłaś. Utykałaś na prawą nogę. Ta drobna skaza dodawała wymiaru twojej niezachwianej pewności siebie.

SO CLOSE TO GRAB CYCLES

Małe białe słońca nigdy nie zachodzą nad tą pustą
krajną. Odbijają się od widnokręgu beznadziejnie
niepojętym interwałem. Mamy cały czas, spaceru-
jąc pod rękę czarną równiną. Nie zostawiamy śla-
dów, nadziei, bez szans ani możliwości. Błede miraż
zza siedmiu mórz, niewczesni goście, puste jutro.

Jest zbyt cicho. Dzieło jest skończone i obce.
Nic tu po nas.

SPIIS TREŚCI:

Jutro	2
Pewnego dnia	6
Przedmyślenia	8
Tylko dzieci kochają kałuże	11
Ciemnowidzenie	14
Koniec świata	17
Lekcja historii	21
Supernowa	24
Granice	28
Ostatni dzień zimy	31
Biały nosorożec	35
Soczewkowanie grawitacyjne	37

NIC POTU NAS

Tekst: Tomasz Nowak

Projekt graficzny, łamanie: Tomasz Nowak

Fotografie: Unsplash.com

Czcionka nagłówkowa: Butler Stencil

Czcionka tekstowa: Cormorant Garamond

© Tomasz Nowak 2019 | nowapracownia.pl | eskapismo.pl